

Wśród zagranicznych książek

Jacek Wojciechowski

Obydwie książki, które tym razem sygnalizuję, wydają mi się ważne ze względu na treść. Natomiast różnią się bardzo pisarską jakością. To zresztą w obszarze INiB – w Polsce oraz poza Polską – zdarza się bardzo często. Bywa mianowicie, że publikacje problemowo intrygujące i produktywne, są napisane katastrofalnie, albo jeszcze gorzej. Pokolenia net-generation oraz nieco starsze nagminnie piszą tak, jakby młotkiem rozbijały lodowiec.

A przy tej okazji ze smutkiem stwierdzam, że znakomita oficyna Oxford University Press, tylko co drożej (czasami: zdziarsko) wycenione książki wydaje na przyzwoitym poziomie. Te „tańsze” (jak dla kogo), zwłaszcza sygnowane przez oddział nowojorski, pozostają na granicy czytelności. Ale najprzód – o książce od innego wydawcy.

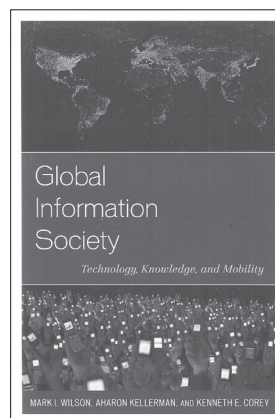
Spółeczeństwo informacyjne [*****]

Mark I. Wilson, Aharon Kellerman, Kenneth E. Corey (2013). *Global information society. Technology, knowledge, and mobility*. Lanham: Rowman&Littlefield Publishers Inc., pp. 285. ISBN 978-0-7425-5694-2

Autorami tej książki są profesorowie... geografii: Wilson i Corey z amerykańskiego uniwersytetu w East Lansing, oraz Kellerman, emerytowany profesor izraelskiego uniwersytetu w Hajfie. Zajmujący się informacją od dawna, ale z dopełnieniem nietypowej, a przez to ciekawej, perspektywy. Dużo miejsca mianowicie poświęcają terytorialnej analizie obiegu informacji, funkcjonowania nowych mediów oraz statystyce zasięgów, zaś do rozważań o komunikacji społecznej dorzucają refleksje o... komunikacji samochodowej, wiążąc ją z namysłem nad komunikowaniem bezpośrednim i z niwelowaniem barier przestrzennych. Właściwie: dlaczego nie?

Jakkolwiek inna proveniencja naukowa niekiedy daje o sobie znać w niekoniecznie trafnym przywoływaniu definicji zjawisk, choćby samej informacji, ale dla tekstu ma to znaczenie marginalne. Mnie z kolei drażni, że całą komunikację publiczną autorzy utożsamiają wyłącznie z transmisją informacji, co jest absurdem, ale w piśmiennictwie informatologicznym jest to nonsens nagminny. Natomiast poza tym publikacja wydaje mi się wysoce frapująca.

Skoro już o tym zacząłem mówić, to dopowiem, że przywołane w książce definicjonalne opisy informacji nie są ani dobre, ani (pośród mnóstwa pozostających w obiegu) reprezentatywne, a mylenie jej w tym tekście z wiedzą oraz z innowacyjnością uważam za błąd. Tak jak i zbytne utożsamienie (być może nieintencjonalne) z symbolem, albo ze znakiem. Istnieją wszak znaki bez denotacji. Natomiast jest autorską racją, że informacja może być w rozmaity sposób kreowana, transmitowana oraz odbierana. Szkoda jednak, że z tego stwierdzenia nie został zrobiony dalszy użytek. Bo to przecież dla charakterystyki procesu informowania, a także dla rozumienia kategorii obiektywnej lub subiektywnej prawdziwości informacji, ma znaczenie fundamentalne.



Autorzy twierdzą, że parcie ludzi ku informacji ma podłoże naturalne – czyli: jest tendencją wrodzoną – zaś wzmacnia ją i kierunkuje luka pomiędzy treścią już przyswojoną (zatem wiedzą), a oczekiwaną. Pierwsza z tych opinii ma korzenie w psychologii poznawczej¹ (częściowo dziś kontestowanej), a co do drugiej: przejście informacji może następować niezależnie od woli odbiorcy i podświadomie.

Natomiast dobrze uzasadnia się supozycja, że Internet (również) dlatego jest intrygujący, że serwuje krótkie urywki wielu informacji z rozmaitych obszarów; to rzeczywiście uchodzi za atrakcję. No i mają rację autorzy, sygnalizując różnice w transmisji (więc również w odbiorze) informacji przez sieć oraz bezpośrednio. Z wersji sieciowej bowiem prawie całkowicie wyeliminowane są konteksty uzupełniające.

Przechodząc zaś do analizy zjawiska „społeczeństwa informacyjnego”, widzą w nim nowy sposób zorganizowania i funkcjonowania zbiorowości wobec informacji, w oparciu przede wszystkim o najświeższe techniki komunikacyjne. I mają rację: to wszak rozwiązania techniczne rozstrzygają dziś o kształcie i warunkach transmitowania informacji. Na ogół dopisuje się jeszcze do tego różne konstrukty ideologiczne, bo samo technologiczne uzasadnienie uchodzi za trywialne, prostackie, lecz przecież tak w końcu jest. Dobrze więc, że akurat w tej książce nie uprawia się bajkopisarstwa.

Jednocześnie zaś bezkrytyczną – a powszechną wszak – apologię społeczeństwa informacyjnego, autorzy uważają za arogancką i bezczelną. Świadczy bowiem o całkowitym zlekceważeniu przedelektronicznego dorobku i obiegu informacji, czyli dokonań tysięcy lat, z których przecież wzięło się wszystko, co współczesne. Oraz: o skłonności do mitologizacji, bo (jak świadczą statystyczne fragmenty książki) do rzeczywiście powszechnego funkcjonowania informacji świat ma jeszcze bardzo pod górę.

Następstwem stęchnicyzowania transmisji informacji jest radykalne rozszerzenie granic dostępności, więc globalizacja zasięgu, redukcja barier przestrzennych – przynajmniej w określonych warunkach. Ma to liczne zalety, ale również mankamenty, które niekoniecznie dają się eliminować. A ponadto, w tych okolicznościach, aktywnych odbiorców paraliżuje dramatyczny niedostatek czasu. Z tego zaś bierze się ustawiczny pośpiech i w rezultacie: nieuchronne spływanie przejmowanych treści.

Sygnalizując nieustanne zmiany komunikacyjnych technologii, autorzy metaforycznie sugerują, że o ile lata 80. były epoką komputerów, a lata 90. – dekadą Internetu, to od 2000 r. trwa inwazja iPodów i tabletoń. Metafora metaforą, ale coś na rzeczy jest.

W związku z tym proponują jeszcze inną periodyzację. Otóż ich zdaniem lata 1960–1980 charakteryzowała **bogactwo** informacji, lata 1980–1990 były **oparte** na informacji, zaś okres 1990–2000 został przez informację **zdominowany**. Można i tak, chociaż moim zdaniem w tym miejscu górę wzięła fantazja. W zetknięciu bowiem z rzeczywistością, taki schemat wygląda zbyt pięknie.

Tym bardziej, że jest w tej książce bardzo dużo uwag o dalszych przeobrażeniach technologii komunikacyjnych, z których nie bardzo wiadomo co jeszcze wyrośnie. Natomiast dotychczasowe zmiany rzutują – wedle autorów – na odbiorcze postawy kolejnych pokoleń wobec informacji. Pada nawet opinia, że obecna młodzież inaczej **przetwarza** informacje, aniżeli pokolenia starsze. Może to prawda, a może nie. Brakuje dowodów, zwłaszcza wiarygodnych badań. Bo te, które są (także za granicą), na ogół nie mają większej wartości poznawczej.

W odniesieniu do społeczeństwa informacyjnego, autorzy powtarzają określenie: globalne. Jednak konsekwentnie bez supozycji, że ma charakter powszechny. Bo nie ma – co potwierdzają zamieszczone tam obficie argumenty statystyczne.

Na pewno natomiast jest to zbiorowość mobilna i wolna od ograniczeń przestrzennych. To znaczy: przekracza granice polityczne, natomiast odrębności krajowych nie zamazuje. Na razie, jeszcze nie? Trudno powiedzieć. Tym niemniej jednak już tworzą się społeczne przestrzenie pozafizyczne

¹ R. Stachowski, B. Dobroczyński (2008). *Historia psychologii – od Wundta do czasów najnowszych*. W: *Psychologia. Podręcznik akademicki*. T.1. Sopot: Gdańskie Wydaw. Psychologiczne, 106–108.

i ponadkulturalne, powiązane sieciowo, więc wirtualne. Niezależne, równoległe, alternatywne, wymienne? Też trudno powiedzieć. Szkoda, bo ma to ogromne konsekwencje społeczne. Ale w książce akurat ten kierunek refleksji rozwija się rachitycznie i niekonsekwentnie. Dominuje perspektywa technologiczna.

Nie bez racji, chociaż może zbyt jednostronnie. W każdym razie technologie komunikacyjne i powstanie digitalnych sieci uznają autorzy za fundament społeczeństwa informacyjnego. Zresztą – jak już była mowa: zmienny. W tej chwili (ich zdaniem) nastąpiła faza stopniowej integracji dotychczasowej infrastruktury komputerowej z telefonią mobilną, przy wyraźnie nasilonej inwazji rozwiązań mobilnych jako takich. Ostateczny rezultat tych zmian nie klaruje się dostatecznie jasno, o ile konkretyzuje się w ogóle.

Sama sieć natomiast przyczyniła się do zmiksowania obiegu komunikacji, szczególnie (choć nie tylko) informacyjnej. Funkcjonują w niej wszak kanały i formy komercyjne, administracyjne, społeczne i charytatywne, a odbiorcze urzędy i stanowiska publiczne współlistnieją z osobistymi. Jest to więc gigantyczna płatanina różnych koncepcji, rozwiązań oraz... interesów. Z której korzysta praktycznie 35% populacji świata, wprawdzie globalnej, lecz do powszechności droga jeszcze daleka. Ci, którzy kojarzą z Internetem **wszystkich**, po prostu nie wiedzą o czym mówią.

I to trzeba stale mieć w świadomości. Publiczność internetowa to ewentualnie 1/3 mieszkańców globu. Tymczasem prawie każda tematyczna wypowiedź sugeruje – pośrednio lub wprost – że składa się na nią **cała** ludność Ziemi. I to jest zawracanie głowy.

Globalność narzuca transgraniczne relacje, kontakty i kooperacje, natomiast nie eliminuje wewnętrzne – krajowego, regionalnego, lokalnego – zaangażowania ani wpływu, co najmniej różnicującego, a nierzadko: wprowadzającego odmienne ograniczenia. To znaczy, współcześnie z obiegu treści, zwłaszcza informacyjnych, trudno arbitralnie wyłączyć udział środowisk terytorialnych, dlatego mówi się o **glokalności** (globalność + lokalność). One zaś też nie mogą od tego obiegu uciec, chociaż miejscowo potrafią kreować bariery, utrudnienia, zakazy – czasami skuteczne, a czasem nie. Natomiast absencja w tym obiegu ma raczej charakter indywidualny, niekiedy świadomy, lecz na ogół pozaświadomy. Generalnie jednak ma miejsce (lub może mieć) fuzja: połączenie obiegu treści (informacji) generowanych lokalnie (regionalnie, ponadregionalnie) z tymi, którym od początku, intencjonalnie, przypisano charakter globalny.

Zdaniem autorów, wspólny jest ogólny model strukturalny (czyli systemowy) procesów informacyjnych. Napisano, że tworzą go: media, infrastruktura, informacja, operatorzy i użytkownicy. Rzuci się w oczy brak uporządkowania. Model jest chaotyczny, budzi wątpliwości, natomiast nie grzeszy kompletnością, bo wszak nie ma w nim **kreatorów** treści informacyjnych, których nie tworzą przecież krasnoludki. Natomiast rzeczywiście te składniki procesów informacyjnych występują zawsze i wszędzie, są więc globalne i strukturalnie identyczne. Odmienne bywają natomiast **konteksty** funkcjonowania, okoliczności, czyli – jak to się niekiedy mówi – otoczenie systemów informacyjnych.

W następstwie, także same rozwiązania technologiczne bywają obszarowo zróżnicowane, wymuszając mozaikę urozmaiconych aplikacji. Dlatego nie może być jednolitości, ani całkowicie kompatybilnej wspólnoty.

Istnieją poza tym ograniczenia uwarunkowane politycznie. Tu i ówdzie ma miejsce urzędowa kontrola transmitowanych treści, występują ingerencje cenzorskie, a zdarza się nawet częściowa eliminacja udziału w obiegu wspólnym. Bardzo możliwe, że więcej jest krajów, stosujących wobec Internetu rozmaite restrykcje, nakazy oraz zakazy, niż tych, które tego nie robią. Od siebie dopowiem, że i liberalizacja bywa czasami niepełna – jak tego dowiódł amerykański Patriot Act.

Na to zaś nakładają się – w różnych krajach różne – rozwiązania prawne, uprawnienia oraz zakazy (szykowana w Polsce ustawa o ponownym wykorzystaniu informacji sektora publicznego sugeruje odmienne regulacje, niż w wielu innych krajach), a także zróżnicowane zasady odpłatności za korzystanie z informacji. Zaś najwięcej bardzo różnych ograniczeń, w ujęciu terytorialnym lub instytucjonalnym, wprowadza praktyka licencyjna. W dodatku często tak jest, że co w jednym kraju

prawnie zakazane, w innym bywa dopuszczalne. Autorzy przywołują, tytułem przykładu, antypirackie akty prawne z USA, które gdzie indziej nie są honorowane.

Tak więc w wymiarze globalnym, jednorodność i kompatybilność systemów obiegu informacji, to jedynie nazewnictwo i hasłowa fikcja. Rzeczywistą wspólnotę społeczeństwa informacyjnego trzeba dopiero zaaranżować i na razie jest to zaledwie początek drogi.

Ponadto zresztą istnieją jeszcze bariery techniczne, infrastrukturalne, ekonomiczne, różnicujące tę niby zbiorowość informacyjną – oraz także językowe. W obiegu internetowym 12 języków pokrywa 98% transmitowanych treści, ale przez te 2% rozumie się miliony osób. Przy tym zaangażowanie owego tuzina języków nie jest równomierne i nieprawda, że angielski usuwa pozostałe w cień. Na razie w sieci językiem angielskim posługuje się 28% internautów, chińskim 22%, zaś hiszpańskim 8%. Nie ma więc kompatybilności, a opinie o ekspansywności angielskiego są bezdowodowe. Nie brak opinii, że wcale tak nie jest². I nie uważam, że to źle. Języki narodowe trzeba chronić przed zanikiem.

Mitologia zdominowała również opinie o edukacji na dystans, wychwalanej bez umiarkowania. Prawdą jest, że e-edukacja rozwinęła rozmaite formy – komercyjne i darmowe, formalne i nieformalne – zwłaszcza na poziomie wyższym. Jednak wbrew temu, co się pisuje, istnieją zasadnicze kłopoty z akredytacją poziomów formalnych na studiach zdalnych i wedle oceny autorów, w pełnym profilu takich studiów bierze na świecie udział nie więcej niż 4% ogółu studentów. Nieco lepiej kształtuje się ich udział w poszczególnych e-kursach, ale ma to głównie charakter dopełniający. Bo też, wbrew potocznym przeświadczeniom, studia online wymagają wzmoczonego wysiłku studiujących, podwyższonej intensywności odbiorczej, czyli znacznie większego zaangażowania, a przy tym zajmują o wiele więcej czasu. Dlatego są w sumie uważane za gorsze. Zatem i to nie jest lepsze dla społeczeństwa informacyjnego.

Pokażą część książki zajmuje charakterystyka struktur informacyjnych (w istocie: komunikacyjnych) w różnych częściach świata, z dookreśleniem społecznych zasięgów – wsparta olbrzymią ilością wskaźników statystycznych. I nawet jeżeli niektóre wydają się już nieco przedawnione (tego zweryfikować nie mogę), to jednak w sumie tworzą wizerunek niezwykły: jeszcze nigdy takiego nie widziałem. Autorzy odnoszą się tam do różnych form (kanałów) medialnej komunikacji, ale w tym omówieniu skupię się jedynie na prezentacji funkcjonowania Internetu.

Powszechnie omnipotentna Internetu kojarzy się z Ameryką Północną (350 milionów mieszkańców) i rzeczywiście: zasięg w USA i w Kanadzie autorzy szacują na 75% populacji. To prawie literalnie odpowiada innym, znanym mi doniesieniom statystycznym³, co wysoce uwiarygodnia zawarte w książce doniesienia. Natomiast warto jednak zwrócić uwagę, że nawet tam nie korzysta z sieci 1/4 mieszkańców, więc z uogólnieniami trzeba ostrożnie.

Diametralnie inne są natomiast wskaźniki w Ameryce Łacińskiej (500 mln mieszkańców): tam Internetu używa **mniejsza** część populacji, a różnice w zasięgu są gigantyczne. O ile w Urugwaju dostęp ma 40%, a w Brazylii 37.5% mieszkańców, to w Boliwii oraz w Ekwadorze mniej niż 10%.

Europę autorzy (wiadomo skąd są) podzielili sobie na Zachodnią (400 mln mieszkańców – zasięg Internetu powyżej 50%), oraz na Wschodnią (też 400 mln; średni zasięg nieokreślony, ale niższy). Tu również widać znaczne różnice. Na Zachodzie zasięg Internetu najwyższy jest w Islandii 91%, w Holandii 87%, w Szwecji 88% i w ogóle w Skandynawii wysoki, ale w Grecji, w Portugalii oraz we Włoszech po 42%. Natomiast na Wschodzie jest wyraźnie niższy i bardziej zróżnicowany; ponadto są w tym regionie kraje, gdzie obieg Internetu bywa „korygowany” przez władze. Najwyższy zasięg w tej części Europy jest w Estonii – 66% oraz w Czechach i na Węgrzech – po 59%. Polsce przypisano 49%, a Rosji 32%, podczas gdy Albanii 23%, zaś Ukrainie 11%. Aż nie chce się wierzyć.

² P. Clough (2012). User-related issues in multilingual access to multimedia collections. In: *User studies for digital library development*. London: Facet Publishing, 117–126

³ *Perceptions of libraries 2010* (2011). Dublin [USA]: OCLC, 10.

Bardzo wysokie wskaźniki korzystania z Internetu odnotowano jeszcze tylko w regionie australijskim (30 mln mieszkańców) – w samej Australii i w Nowej Zelandii po 72%, ale już na Fidżi tylko 1.5%. Natomiast w innych częściach świata Internet dociera do niewielkiej (z wyjątkami) części populacji, albo prawie do nikogo. W Afryce (tu autorzy dołączyli azjatycki Bliski Wschód) tylko na północy wskaźniki zasięgu wyglądają niekiedy znośnie. W Emiratach 65%, w Libanie 52%, w Maroku 33%, w Izraelu 30%, a w Tunezji 27%. To więc jeszcze nie wygląda źle. Ale w pozostałych krajach, zwłaszcza ściśle afrykańskich (z wyjątkiem Nigerii – 15%), zasięg Internetu wynosi przeważnie 0.1–3% populacji. Wypada więc mówić raczej o społeczeństwie pozainformacyjnym.

Również w Azji (5 miliardów osób) zróżnicowanie dostępu do Internetu jest gigantyczne. Przeważa zasięg mizerny, zwłaszcza w części centralnej oraz w południowej: w Indiach 4% (!!!), na Filipinach 6%, a w Kambodży nawet 0.5%. Natomiast najwyższy zasięg Internetu odnotowano w Korei Południowej 76%, w Japonii 75%, w Singapurze 73%, ale już w Chinach kontynentalnych tylko 22%. Obok marnej infrastruktury, bariery w dostępie generują liczne tam, niedemokratyczne reżimy. I dopiero w tym świetle, w całości, ujawnia się życzeniowy charakter myślenia oraz ułomność opinii o społeczeństwie informacyjnym. Za sprawą euro-amerykańskiej perspektywy staliśmy się nadmiernie butni.

Z jednej strony zatem świat jest dręczony kiepskim dostępem do informacji, a z drugiej – w niektórych rejonach – podaż okazuje się z kolei nadmierna. Wobec tego niezbędna jest dystrybucja inteligentna: tak to określono. Sygnalizowana tego rodzaju koncepcja (już podobne widywałem) zakłada mianowicie skupienie tej dystrybucji w ośrodkach regionalnych i wielkomiejskich.

Autorzy powołują się na projekt ALERT, który zakłada taką właśnie animację środowiskowych ośrodków informacyjnych, tworzonych wspólnie przez miejscowy kapitał prywatny, czyli przez interesariuszy, oraz ze środków publicznych, z udziałem lokalnych i regionalnych instytucji, jak też nieformalnych organizacji. O bibliotekach nie ma ani słowa i jasne, że to bardzo źle. A zalecany sposób postępowania sugeruje rozpoznanie miejscowych potrzeb (stąd określenie „interesariusze” = „stakeholders”), wypracowanie programów, oraz wykonawstwo – uzgodnione ze wszystkimi zainteresowanymi.

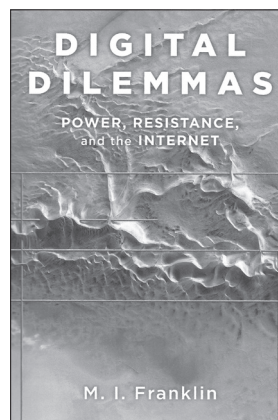
Brzmi to bardzo enigmatycznie, nieomal baśniowo: brakuje twardych konkretów. No bo wprawdzie pomysł jest, ale tylko wstępny. Czy znowu iluzoryczny? Bo różne pomysły już były oraz są, natomiast o realizacji nie słychać nic.

Wokół Internetu [***]

M[arianne] I. Franklin (2013). *Digital dilemmas. Power, resistance, and the internet*. New York: Oxford University Press, pp. 283. ISBN 978-0-998270-7

Ta książka lokuje się w innych rejestrach tematycznych oraz jakościowych. Autorka jest profesorem nadzwyczajnym w Goldsmiths University of London i legitymuje się wcale pokaznym dorobkiem publikacyjnym, lecz jej manierę pisarską uważam za mankamentalną. Tekst jest potwornie rozgadany, mnożą się też powtórzenia, a referencja nie zawsze zachowuje konieczną ciągłość. W dodatku wydawca zrobił co mógł, żeby pogorszyć czytelność – z nieznanych powodów ukrył nawet imię autorki pod pierwszą literą – toteż lektura jest wyjątkowo uciążliwa.

Natomiast ma sens, ze względu na oryginalne podejście do problematyki. Pisząc bowiem o funkcjonowaniu Internetu oraz o dystrybucji informacji, Franklin łączy kilka perspektyw – polityczną, społeczną, komunikacyjną i technologiczną – a to zdarza się rzadziej niż rzadko. Co nie przeszkadza, że często serwuje opinie bardzo jednostronne.



Ale jednak inne niż te, które formułuje się zazwyczaj. Na ogół bowiem dominują wypowiedzi apologetyczne wobec Internetu, tymczasem autorka eksponuje mankamenty i zagrożenia. Powtarzając jak mantrę zarzuty „kontekstualne”: neoliberalizmu, neoimperializmu oraz neokolonizacji. Co dla dyskusji może być inspirujące, albo nawet produktywne, natomiast dla prawdziwości – już niekoniecznie.

Z jednej strony bowiem irytujące są obiegowe, bezkrytyczne zachwyty nad komunikacją elektroniczną, a bzdurne „zapowiedzi” zagłady pisma wywołują wręcz zgrzytanie zębami. Ale z drugiej – podobne odczucia powoduje mitologizacja internetowych zagrożeń. Ostatnio wzmozona, także w kontekście różnych uzależnień; nie twierdzę, że ich nie ma, ale pod tym względem Internet zaczyna w niektórych opiniach konkurować z alkoholem i narkotykami. Trzeba więc zachować umiar, a wobec tego warto wsłuchiwać się w argumenty wielokierunkowe. Zakładając, że Internetu jednak nie zlikwidujemy.

Ponieważ zaś jest globalnym środkiem łączności, władze polityczne – twierdzi autorka – chcą sobie to narzędzie podporządkować. Podobnie: firmy i korporacje komercyjne. Ale dążą do tego ukradkiem, potajemnie. Wobec tego ludziom wydaje się, że cyberprzestrzeń jest obszarem niezależnym, swobodnym, otwartym, gdzie każdy może mieć swoje miejsce i robić co chce. Nic bardziej błędnego.

Wokół Internetu ma miejsce kumulacja kapitału, struktur politycznych oraz technik komunikacyjnych i tak konstytuują się strefy wpływu. Niezależna myśl krytyczna jest spychana na dalszy plan, dodatkowo marginalizowana przez potoczną amatorszczyznę blogosfery. Indywidualnie nikt w Sieci nie ma nic do gadania, ale coraz częściej także poza nią, ponieważ nastąpiła redukcja kontaktów bezpośrednich.

Publiczność jest teraz transgraniczna, zatem niedookreślona. Wpływać na nią – więc także na obieg i ukierunkowanie informacji – może tylko ten, kto wcześniej rozpozna nastawienia (miejscowe?) i wytyczy obszary manipulacji. Autorka nie ma wątpliwości kogo na to stać: to anglo-amerykański neoimperializm. Co ujawniły właśnie afery Snowdena oraz Wikileaks: Internet okazał się terenem intryg publicznych i politycznych na skalę międzynarodową i platformą informacji „skażonych”. Tak więc pod etykietą globalizmu nie kryje się żadna internacjonalizacja (międzynarodowy nadzór to lipa; jest tylko amerykański), lecz agresywna ekspansja ekonomiczna oraz komunikacyjna. Otóż nie da się powiedzieć, żeby to w ogóle była nieprawda, ale zarazem nie jest to prawda ani wyłączna, ani cała. Dlatego: do ostrożnego potraktowania.

Franklin uważa niby potoczne zwroty „społeczeństwo internetowe” i „nowa kultura medialna” za czysty kamuflaż, myślącą pułapkę, sugerującą że mowa tu o medium, na które każdy może mieć wpływ. Tymczasem w rzeczywistości wpływy naprawdę znaczące mają tylko nieliczni interesariusze.

Komercyjni oraz polityczni. Przemysłnie zintegrowani, co dla niepoznaki zaczęto nazywać konwergencją. Głównie są to siły (to taka autorska obsesja) euro-anglo-amerykańskie (a jakie mają być – papuaskie?), które ingerują oraz narzucają rozwiązania i manipulują publicznością w różnych regionach świata. Ostatnimi czasy dodatkowo zauważywszy niezwykle możliwości wpływania na użytkowników telefonii mobilnej, ją także próbują opanować. Jakaś racja, przynajmniej częściowa, w tej opinii jednak jest, a wobec tego nadzieje związane z tą telefonią w odniesieniu do bibliotecznych usług informacyjnych, bardzo mocno błędna.

Polityczno-komercyjne parcie na Internet, a potem na telefonię mobilną, kojarzy autorka z wystąpieniem wiceprezydenta USA, Ala Gore’a, w 1994 r. To wtedy miała rozpocząć się internetowa „rekolonizacja” świata, połączona z ekspulsją internautyki niekomercyjnej. I wprawdzie Franklin bibliotek nigdzie nie wymienia, ale swoje miejsce w dopiero trzecim rządzie internautycznym rzeczywiście odczuwamy.

Za rekinów rynku internetowego autorka uważa Google (32 tys. pracowników na całym świecie) oraz Microsoft. W każdy dostępny oraz pozaprawny (były wszak procesy i wyroki) sposób osiągają to, co chcą. A nieświadoma prawdy publiczność bije im dziękczynne brawa, jako dobroczyńcom.

Natomiast już bez uzasadnienia Franklin sugeruje, że społeczeństwo nie zalicza udziału w komunikacji elektronicznej do rejestru potrzeb głównych, a w każdym razie – nie do podstawowych. Prawdę mówiąc, z wielu doniesień może wynikać akurat coś przeciwnego.

Z kolei (też nie rozumiem powodów) pojawia się w książce pokaźny rozdział, poświęcony niedostępności Sieci dla osób bezdomnych. Bezdomność jest oczywiście okolicznością tragiczną, ale wątplię czy bezdomnym najbardziej doskwiera akurat brak dostępu do komputerów. Poza tym cała książka utrzymuje się na wysokim poziomie ogólności, a tu nagle mowa o detalach i szczegółach.

Tak jak inni, Franklin podkreśla, że Internet wciąż podlega zmianom. Nie tylko technologicznym, chociaż to właśnie one umożliwiły wprowadzenie nowych formuł 2.0 i 3.0. Ale największe innowacje dokonały się za sprawą platform społecznych. W rezultacie dla co młodszych generacji sam Internet jako taki wcale nie uchodzi już za narzędzie nowe. Przeobrażenia zaś trwają nadal, czego nie wszyscy mają świadomość, tym bardziej więc mało kto zastanawia się, jaki może być ciąg dalszy.

Autorska refleksja skupia się w tym kontekście na pytaniu, kto powinien kontrolować Internet. Spontaniczna odpowiedź brzmi: nikt. Nikt jeden, żadna władza polityczna, żadna grupa interesariuszy. Lecz przecież ku temu wszyscy właśnie dążą i niejako efekty osiągają. Jak temu zapobiec?

Franklin przypomina, że istnieje stosowne forum wymiany opinii, Internet Rights and Principles Coalition, w tym właśnie celu powołane, które zdołało wypracować społeczny rejestr zasad i praw – Internet Rights Charter. Z założeniem, że postulowany, otwarty i transparentny udział **wielu** różnych podmiotów sprawczych, może zapewnić Internetowi rozwój oraz przyporządkowanie społecznym wartościom, a wszystkim zainteresowanym – demokratyczne współuczestnictwo.

Ale to jest tylko projekt. Jeszcze jeden projekt. Kolejna utopia? Nie daję wiary, że sama mnogość pomysłów, projektów, programów i wirtualnych modeli, jest w stanie wpłynąć korzystnie na rzeczywistość. Ale nie zaprzeczę, że byłoby dobrze, gdybym nie miał racji.

Nadesłano: 22.06.2014.